

EFEKTY UBOCZNE

(dwanaście scen z życia w adnotacjach i niedomówieniach)

Tłumaczyła Bożena Majorczyk

Dmitrij BOGOSŁAWSKI (ur. 1985, Mińsk) – aktor, reżyser, dramaturg. Do osiemnastego roku życia mieszkał w mieście Elista (Kałmykia). Absolwent Teatralnej Akademii w Mińsku (specjalizacja: „Reżyser“, 2005). Pracuje jako aktor w Białoruskim Państwowym Teatrze Młodzieżowym (Mińsk).

Jako dramaturg zadebiutował tekstem Pion (Pieszka, 2007). W 2008 roku czytanie tego utworu scenicznego odbyło się w Centrum Białoruskiej Dramaturgii i Reżyserii (Mińsk, reż. Siergiej Ancelewicz). Inne teksty: Ręce (Ruki), Swatanie (Swatowstwo, 2009 – wspólnie z Wiktorem Krasowskim), Obce kraje (Czużyje bieriega, 2009), Bracio (2010), Jutra może nie być (A jeśli zawtra niet?, 2011), Ludzka miłość (Lubow ludiej, 2011) i Efekty uboczne (Wnieszniye pobocznyje, 2012).

Premiera spektaklu Swój kraj (wg sztuki Obce kraje) odbyła się na scenie Teatru-Studio im. Jewgienija Mirowicza (Mińsk, 2010, reż. Jelena Miediakowa).

Na język polski zostały przetłumaczone trzy sztuki dramaturga: Ludzka miłość (tł. Bożena Majorczyk), Cichy odgłos niknących kroków (tł. Bożena Majorczyk) oraz Jutra może nie być (tł. Jakub Adamowicz).

http://teatrdlawas.pl/teatr/tdw/index.php?option=com_content&task=view&id=23235&Itemid=56

http://teatrdlawas.pl/teatr/tdw/index.php?option=com_content&task=view&id=31872&Itemid=56

http://teatrdlawas.pl/teatr/tdw/index.php?option=com_content&task=view&id=23953&Itemid=56

Sztuka Ludzka miłość ukazała się na łamach czasopisma „Sowriemiennaja Dramaturgija” („Współczesna Dramaturgia”, Moskwa, 2011/4). Trafiła do listy nominatów dramaturgicznego konkursu „Eurazja-2011” (Jekaterynburg) oraz „Diejstwujuszczije Lica-2011” (Moskwa). Czytanie tekstu z powodzeniem odbyło się na festiwalu „Lubimowka” (Moskwa, IX 2011). Prapremiera Ludzkiej miłości odbyła się na scenie Teatru Dramaturgicznego im. Władimira Majakowskiego (Moskwa, reż. Nikita Kobielew, 27 VI 2012). Inne inscenizacje tej sztuki: Teatr Dramatyczny „Głobus” (Nowosybirsk, reż. Iwan Orłow, 7 XII 2012); Teatr Dramatyczny im. M. Lermontowa (Abakan, Chakasja, reż. Jewgienij Łancow, 15 XII 2012).

Czytanie sztuki Jutra może nie być w Polsce odbyło się w Teatrze Dramatycznym im. A. Węgierki w Białymstoku w ramach cyklu: „(re)interpretacje. słap czytań – Sąsiedzi: Białoruś” (reż. Tetiana Logoyda, 24 IV 2013).

Czytanie sztuki Efekty uboczne miało miejsce podczas międzynarodowego festiwalu teatralnego im. A. Wołodina „Pięć wieczorów” w Sankt Petersburgu (reż. Gleb Czeriepanow, 9 II 2013). Reżyserem słuchowiska radiowego jest Nikita Kobielew („Radio Rosji”, 30-31 V 2013).

Andriej Moskwin

Osoby:

Stiepan, 0 lat. Stiepan, 36 lat.

Stiepan, 8 lat. Stiepan, 43 lata.

Stiepan, 14 lat. Stiepan, 55 lat.

Stiepan, 17 lat. Stiepan, 55 lat.

Stiepan, 18 lat. Stiepan, 56 lat.

Stiepan, 22 lata. Stiepan, 78 lat.

A także wiele innych osób, wypowiadających najprzeróżniejsze dźwięki, które, nie wiedząc czemu, składają się w określone słowa. Dookoła ludzi rozlega się mnóstwo szumów, które mieszają się z tymi dźwiękami. Wokół króluje cisza.

SCENA PIERWSZA

Cisza. Troszkę buja. Leży się wygodnie. Jest dobrze. Wydaje się, że i jemu jest dobrze. Nieprzyjemne brzęczenie dzwonka do drzwi, ale gdzieś z oddali, więc nie wzbudza niepokoju.

– A-a-ach, no, nareszcie!

– Hura-a-a! Jesteście!

– No, pokażcie go, pokażcie!

– Gdzie te łapy? Weź ręce!... Ja sama... Daj mi... No, uważaj, no!...

Jest jasno. Osobliwie. Trudne do zrozumienia.

– Ojej! Mamuniu, co za śliczności!

– Podobny do ciebie!

– A to!...

– Ojej, a jaki nosek! Całkiem jak twój!

Gdzieś coś huczy, syczy. Spaja się w jedno. Z oddali, falami napływa jakiś dziwny głos: „W związku powyższym rząd postanowił...”. Tylko że wokoło hałasów jest o wiele więcej: dźwięki ostre i wysokie, raptem niskie i odpychające, jeden dźwięk przechodzi w drugi, kluczą razem w powietrzu, biją prosto w uszy. Jest troszkę nieprzyjemnie, ale nie strasznie... całkiem niegroźnie.

– Nie, nosek jest mój, a oczka są jego!

– Guga-gu! Uśmiecha się!

– Do mnie się śmieje, a tobie pokazuje figę. Masz, mów, mamuniu, figę!...

– No, co ty chrzaniś, jaką figę? Paluszki ćwicz i tyle!...

– Wyrośnie na kieszonkowca.

– Losza, debil z ciebie, słowo honoru. Masz już szesnaście lat, a pieprzysz jak dzieciak, mój Boże!

– A co ja takiego powiedziałem?

– Co, szkło poleciało! Że wujaszek, że siostrzeniec – to dwa nieroby w podkoszulkach... Mogliście się chociaż lepiej ubrać.

– Żartowałem tylko, czego ode mnie chcecie?

– Niczego, przypominam ci tylko, że to twój cioteczny brat, a ty tu sobie żarty stroisz! Schodzisz na psy, same pały ze szkoły przynosisz!

– No dobra, przestańcie już, dzieciak się wystraszy!

Niosą mnie. Delikatnie. Ostrożnie. Kładą do łóżka. Wszystko wokół jest białe, momentami niebieskie, ale bez przesady, bez natręctwa.

– Dość tego, cicho, idźcie sobie, może on chce spać...

– Rozwiń go najpierw do końca z pieluch, co z ciebie za matka!...

– Zaraz, poczekaj.

– Jakie rączunie, jakie mamy rączunie!... A siusiaczek ja-a-aki!

– Mamo, przestań, siusiaka nigdy nie widziałaś?

– Ale macie temat do rozmowy... Sierioża, chodźmy sobie chlapnąć. Niech baby tu same...

– Idźcie już, za chwilę przyjdę...

– Chodź, Loszka, daj im wczuć się w rolę rodziców... I weź ze sobą babcie...

Głośno oddychają. Wokół coś szura, wiruje i powoli cichnie.

– Ma plamkę na pępku, jak jakiś Hindus...

– Hindus ma na czole, i nie jak Hindus, a jak Hinduska, ciemniaku. Czego ty syna nauczysz?

– A-a-a, no, tak, tak...

– Cicho bądź, patrz...

Cisza. Płynne ruchy. Lewą raz – syk i niegłośny trzask. Prawą raz – oddech i szmer. Zastygłem – i wszystko zastygło.

– Może zostanie dyrygentem?

– Jakim dyrygentem? Komu oni są teraz potrzebni?

– Ciszej.

Śpij syneczku, śpij laleczko,

Mama pobiegnie po mleczko,

Nakarmi i napoi cię.

A dobry Pan Bóg w niebie

Da, że wychowam ciebie,

Aj luli, luli, synku mój.

– Jakaś straszna ta twoja kołysanka.

– Babcia mi ją zawsze śpiewała... Może to zresztą wcale nie kołysanka. Zasypia, patrz....

– Dobra, chodźmy już.

– Zaraz, tylko go troszkę okryję... Dobrze już, Stiopuszka, śpij.

– Co znowu za Stiopuszka?

– Potem porozmawiamy, przymknij drzwi...

– Co ty z tym jakimś Stiopą, Marina?

– Powiedziałam, że pogadamy później.

Tuż obok coś nieprzyjemnie zaskrzypiało, ale krótko. Coś trzasnęło. Gdzieś głucho, z daleka: „Jutro musisz naoliwić”.

Cisza. Lewą ręką – syk i niegłośny trzask. Prawą ręką – oddech i szmer. Cisza. Pomału kleją mi się oczy. Pomału.

– No, możemy siadać do stołu!

– Siadajcie, siadajcie! Sierioğa, nalewaj!...

– Za Stiope!

– Marina, no, za jakiego Stiope?

– Mówię, że za Stiope!

– A ustalić to ze mną nie łaska? Jakby nie było, jestem jego ojcem...

– Już ty byś coś doradził...

– Przestańcie już... Za mojego wnuka! A jak go nazwiecie, co to znowu za różnica...

– Dla ciebie to mógłby mieć na imię i Półlitra!

– No, stara, i czego ty znowu zaczynasz?

– Półlitra – to prędzej babskie imię...

– Loszka, weź się zamknij! Ba-a-a, a kto ci dał kieliszek?

– Mam już szesnaście lat... i pół.

– Jak ci zaraz przywalę w mordę, to będziesz miał szesnaście, a nawet i więcej!

– Koniec, Loszka, zabieraj ten kieliszek... Za Stiope!

Otworzyłem oczy. Przeszkadzają mi. „Za Stiope...”. Kto to jest, ten Stiope? Lewą raz – a nic się nie dzieje. Prawą dwa – ale i to poszło w niebyt, jedynie słysząc: „Sporo buraczków w tym śledziu pod pierzynką” i „Rząd znowu coś tam postanowił...”. A chciałbym, żeby coś troszkę syczało, powolnego i spokojnego oddechu, nieśpiesznego opadania powiek. Chciałbym krzyczeć, wrzeszczeć, aby zamilkli. Muszę sobie pomóc sykiem i rumorem, wyrzucać je z siebie z oddechem, wysyłać je wprost do nich, a one ciągle odbijają się od: „Rząd postanowił...”, odskakują od: „Przebrałaś miarkę”... Krzyk przywiera do ścian, przez jakiś czas odbija się echem i zanika. I tak za każdym razem – uderzy w nich, odbije się do ściany, przylgnie do niej, podźwięczy przez chwilę i zamiera. Lepiej już być cicho, lepiej zostać samemu, lepiej już, jak zabawiają się tam sami ze sobą, lepiej lewą – raz, lepiej prawą – dwa...

SCENA DRUGA

Strzał. Mocny. Czuć, że noga trafiła idealnie. Nie doleci, dosłownie o centymetr, dobre uderzenie, prosto w siatkę. Nie! Poszła za wysoko. Piękny dźwięk – gała w metalową obręcz i od kąta się rozdzwoniło i po spirali w ziemię spłynęło.

– Nasza, nasza, różny, różny!

– Jaki różny, ślepy jesteś?

– Przecież zeszło po palcach, widziałem.

– Co ty chrzanisz? Figa z makiem, a nie różny! Stiopa, wystawiaj... Naprzód!

– Jestem wolny... Stiopa, nikt mnie nie kryje! Cholera, śpisz, czy co?!

Z impetem, energicznie, przed siebie. Słysząc, jak rozstępuje się powietrze... jak samolot odrzutowy. Dotarłem za linię środka – w porządku. Dalej już sami dadzą sobie radę.

– Jestem! Sławka, na skrzydło.

– Cholera, zgubił... Czego się sam kiwasz, podaj!

– Przejdź na obronę, czego sterczysz, straciłeś, to teraz zasuważ.

– Kryjcie go! Tak trzymaj, cholera!

– Cudo! Naprzód! Dalej, dalej, idziesz!

– Opa! Centra! Pięknie!

– Wal, co robisz uniki?

– Aj, zezulec, ciamajda, cholera!

Czubkiem trampka w poprzeczkę – dzwoni, roznosi się po metalowej konstrukcji. Dźwięk się rozptynął i skrył w ziemi.

– Stiopka, podaj! Na co czekasz?

Trampkiem w poprzeczkę jeszcze raz, i w asfalt na dokładkę. Mocno w piłkę, daleko. Poprzez słońce. I cisza. Słońce. Daleko. Widać linię, biegnącą od asfaltu w kierunku słońca i potem jeszcze dalej. Cisza od asfaltu do słońca i potem jeszcze dalej.

– Przechwyć ją, goń, idziesz!

– Brawo, jest nasza! Naprzód! Nikt ich nie kryje!

– Idziesz, idziesz!

– Do mnie! Jestem! Tutaj!

– Tak! Idziesz, jeden na jednego!

– Stioipa!

Cisza rozpuściła się w mgnieniu oka. „Stiopa, nie śpij”. Oto cel, tylko cel, dźwięki znikają, cisza, jedynie piłka i nogi. Ręce drżą. Strzał. Kłapa, poszła za wysoko, przestrzelona! Powraca dźwięk. Brzęk. Dźwięk ostry, krótki, chwilę powibrował i rozwiął się. Cisza. Dosłownie, jakby wszystko wokół zamarło. Wdech – wydech, wdech – wydech.

– Gdzie bijesz, cholera?

– No, zeszła mi z nogi.

– Zeszła mu z nogi!... Leć za piłką!

– Ale kiks, Marycha z ciebie!

Gdyby jeszcze z jeden raz brzęknęło, ostro, krótko, powibrowałoby chwilę i przepadło. Wdech – wydech, wdech – wydech, wdech – wydech. I cisza. I krzyk. I już przez radio niegłośno: „Rząd postanowił...”. Dywan czerwony, trampki zielone. Portret wujaszka, którego ciągle pokazują w telewizji. Na parapecie kwiaty, doniczki czerwone, a liście zielone. Wdech – wydech, wdech – wydech, wdech – wydech.

– I co, twoja matka ma wiecznie harować na szyby? Czemu milczysz? Jak nie ty, to kto to zrobił? Święty Antoni?

Zamknąć oczy. Wdech – wydech, wdech – wydech, i gdyby można było zatkać uszy, żeby gdzieś głęboko w duszy rozbrzęczało się, ostro, krótko, powibrowałoby chwilę i zniknęło. I tak jeszcze z jeden raz.

– I co, tysiąc razy mam powtarzać, że obok szkoły nie wolno grać?... A może ze sto tysięcy razy? Za mało ci lekcji wf-u? Za mało, pytam?... Jak tak, to już ja cię urządzę! Cała klasa do końca semestru będzie mi zamiatać podwórze. Więc, kto był razem z tobą? Co milczysz, Filipow, nabrałeś wody w usta? Otwórz oczy, jak do ciebie mówię, myślałby kto! Nie zgrywaj mi tu ofiary, nie pogrywaj sobie!

Dzwonek. Długi, wstrętny, nienawistny. Raz – dwa – trzy – cztery – pięć – sześć – siedem. Koniec. Ruszył tabun. Tup – tup – tup – tup. I krzyk. Po prostu jazgot. Korytarz zaryczał.

– Zaczęło się! Co tak wytrzeszczasz gały? Też byś tak teraz leciał na złamanie karku. Koniec z tym! Doigrałeś się!

Harmider i tupot z minuty na minutę przybierają na sile, wpełzają przez szpary w drzwiach, potem za kołnierz, do kieszeni, pod nogawki spodni. Robi się nieprzyjemnie, jakby tysiące mrówek zaatakowało całe ciało.

– Co ty sobie myślisz, że tak tu sobie postoisz, oczkami poprzewracasz i tym się wykpisz?... Nie ze mną takie numery!... Dawaj swój dzienniczek i żebym jutro widziała tu twoją matkę!

Nogi biegną. Usta wrzeszczą. Rój. Ul.

– Dawaj dzienniczek, do kogo mówię!... Co tak sterczysz?

Pstryk pierwszy – prztyk. Drugi... nie wychodzi. Przeszkadzają rękawiczki. Ręce są spocone. Drugi pstryk – prztyk. Gdyby jeszcze z jeden raz. Gdyby jeszcze z jeden raz się rozbrzęczało, ostro, krótko, powibrowałoby chwilę i zniknęło. Wdech – wydech, wdech – wydech.

– Tak, gdzie mój długopis?... Dobrze więc... Jutro z samego rana, słyszysz mnie, zaraz z samego rana ma się tu zjawić twoja matka. Z pieniędzmi na szybę... i na rolety też, wszystko jej tam napisałam...

Czubek ołówka wystukuje rytm na lśniącem stole. Puk – puk. Powoli. Dźwięk, choć rażący, zagłusza, pomimo wszystko, rwetes z korytarza. Puk – puk. Niespiesznie. Całkiem jakby maleńki młoteczek uderzał w miniaturowe kowadełko. Puk – puk – stuk.

– Złamał się... Tak, starczy, marsz do klasy, powiedziałam i żebym cię na oczy nie widziała.

Korytarz huczy wściekłą wichurą, grzmi tornistrami, wrze i jęczy nieskończonym potokiem odgłosów. Zanurzać się w ten rój jakoś się nie chce.

Jeszcze by tak z jeden raz. No jeszcze by tak z jeden raz się rozbrzęczało, ostro, krótko, powibrowałoby troszkę i zginęło. Wdech – wydech, wdech – wydech.

SCENA TRZECIA

– Siadaj i nie kręć się.

– Jakoś nie mogę... Stiopa... Stiopa, musimy poważnie porozmawiać. Stiopa, jesteś już dorosły.

– Cholera, no co ty gadasz?... Zupełnie jak w serialach. Co to, nie potrafisz już normalnie powiedzieć?

– Jak normalnie? Przecież tak właśnie mówię...

Serce wali. Donośnie. Wstrzymać oddech i potem wolniutko, takim długim strumieniem pf-f-f wypuścić w kierunku ściany. Podmuch płynie flegmatycznie, bez pośpiechu, wpija się w tapety.

– Jasne, on i tak wszystko rozumie, tylko ty ciągle się z nim cackasz.

– Co on rozumie?

– A co ma nie rozumieć, przecież ma już czternaście lat? Co on, niby nie widzi, co się dzieje?

– A ty uważasz, że nie trzeba mu niczego wyjaśniać, tak?

– Co tu wyjaśniać? Stiopa, rozumiesz, że ja i mama bierzemy rozwód i od teraz będziemy żyć osobno?

Słysząc, jak na jego ręce tyka zegarek i można wręcz zatopić się w tym odgłosie i, jak w rytm metronomu – pf-f-f – niekończącą się wiązka w stronę ściany, samemu wnikać w tapety.

– I dlatego musisz podjąć decyzję...

– Dziecko powinno zostać z matką.

– Zamilcz... Czemu wywierasz na niego presję?

– A ty nie wywierasz?... Zamieszkamy u babci, tam jest Jim, jest rzeczka...

– A co, mam mu w ogóle nic nie mówić? Sama nie jesteś lepsza...

– Dziecko powinno mieszkać w mieście.

Samochód za oknem, reflektory. W mieście są samochody i motocykle. Jak się zamknie oczy, to razem z nimi można jechać gdzie dusza zapagnie, a jeśli jest noc, to oczu można w ogóle nie zamykać. Serce wali. Powoli, długą strugą w stronę ściany: pf-f-f. Struga wnika w tapety.

– Jesteś najmądrzejsza, czy co?

– Właśnie.

– Najmądrzejsza? Głupia jesteś, naczytałaś się różnych bzdetów...

– Lepiej się zamknij!

– Sama się zamknij!

– Oj, wiesz co?...

– Nie wiem. Stiopa, z kim chcesz zostać?

– Stiopa, z kim chcesz zostać?

Jak do babci jedzie się takim pomarańczowym autobusem, to w tym autobusie są jeszcze skrzypiące drzwi, które się ciągle zacinają, trzeba w nim siadać z tyłu, wtedy można usłyszeć, jak kamyki uskakują spod kół, a jak się siądzie na środku, to słychać, jak lecąc spod przednich kół uderzają o podwozie.

– Stiopuszka, posłuchaj, nie myśl sobie, że cię do czegoś przymuszamy. Sam musisz zdecydować.

– Musisz przede wszystkim zrozumieć...

– Kogo bardziej kochasz.

– No i co ty mówisz?... Czemu mi ciągle przerywasz?

– Nikt ci nie przerywa...

– Nie, powiedz mi lepiej, co to znaczy: kogo bardziej kochasz... Dociera do ciebie, co gadasz?

A z przodu autobusu kompletnie nie warto siadać: silnik bez przerwy warczy i od kierowcy śmierdzi papierosami. W silniku stale coś ryczy, rżęzi, trzaska i zaczyna ci się wydawać, że od tych hałasów nadymasz się jak bańka mydlana, i jak po raz kolejny autobus najedzie na garb lub muldę, to przez nie wylecisz w powietrze i rozlecisz się na wszystkie strony świata. To przygnębiające odczucia, z pewnością. Pf-f-f.

– Gdzie tam leziesz? Widzisz, że dzieciak się zamknął...

– Dlatego, że bez przerwy się wydierasz.

– Drę się, bo nie dajesz mi dojść do słowa!...

– Kto komu nie daje? Przecież jadaczka ci się nie zamyka!

– Panuj nad słownictwem...

– Ach, ty, Boże ty mój, czy aby nie za późno wzięła się pani za wychowanie syna?

– Syn jest mój! Tak na marginesie – to ja go urodziłam...

– Powiedz jeszcze, że nie miałem w tym swojego udziału...

– A kto to wie?

– ...Och, ty... jak możesz, Marina...

Nad rzeczką są szuwary, w szuwarach – żabki. Rano i wieczorem żabki rozmawiają ze sobą, a kaczki się z nich śmieją – cha, cha, cha... Jim ujada. Jak jest wieczorem na polu, to nawet powstaje echo. Słychać je nawet w lesie.

– Stiopa, jedziesz ze mną?

– Sąd zadecyduje, z kim pojedzie!

– Zamknij się!

– Jeszcze czego!

– Zamknij się, powiedziałem!

W pokoju jest ciszej. Tam można sobie przypomnieć, jak Jim wyłazi z wody i się otrząsa. Wydaje taki śmieszny dźwięk, uszy mu kłapią.

– Więc ty..., to ja..., ja ci za to, rozumiesz, ja cię...

– No, bo jeszcze w sądzie powiem, że mi groziłeś...

– Ty wiesz chociaż, co wyprawiasz? Czy ty w ogóle masz jakieś ludzkie odczucia, czy nie?

– Dla kogo mam, dla tego mam... Jeszcze coś?...

W pokoju jest ciszej. Tam można sobie przypomnieć: gdy rankiem zapieje kogut, nagle cisza robi się taka przytulna, że znowu zapadasz w sen. Przyjemnie jest wspominać ciszę. W pokoju jest ciszej.

– Widzisz, co się dzieje z dzieciakiem?... Stiopa, chodź tutaj...

– A kto go doprowadził do takiego stanu?... Kto jest winien, pytam?...

Zamknąć drzwi. Właśnie tak. Jest ciszej, o wiele ciszej. Serce wali. Wstrzymać oddech, i potem wolniutko, taką długą strużką pf-f-f wypuścić w stronę ściany. Strumyczek powietrza płynie pomału, nieśpiesznie, wchłania się w tapety.

SCENA CZWARTA

– Jest jeszcze wino?

– Daj mi gitarę, zaśpiewam Umkę [1]...

– Umka nas stłamsi.

– To nie słuchaj...

Szagaja noczju po tiomnym chołmam

Ja wiżu waoczyju zabroszennyj chram

Letuczyje myszy, chłam pa ugłam

Razobrana krysza, zabroszennyj chram

Czietyrie łuny w głubinie niebios

Tiomnyje chołmy, dalokij les

Proswieczieny zwiezdami tiomnyje swody

Prozracznaja nocz, nocznaja swoboda

– To jest jeszcze to wino, czy nie?

– Została resztko na dnie, małego trzeba by pościć...

– Nigdzie nie idę, nie czuję nóg.

– No to krewa...

– Mały, a masz adidasy?

– Mam.

– To niech pójdą twoje adidasy, na grzyba ci nogi?

– Fakt.

Zabiericie mój dom, no ostatecznie mnie gołos

Gołos, gołos, gołos

Gołos mój dom, gołos mój sad

Gołos mój raj, gołos mój brat

– Stio, coś tak zmakotniał, zdolowało cię?

– Nie tykaj go, cały dzień coś taki łązi...

– A ja myślałem, że zawsze jest taki...

– Daj spokój, czego się nabijasz, niech sobie siedzi, może wyluzuje...

Gołos moj chram, gołos moj grom

Gołos moj drum, gołos mój OM

Gołos moj dom

– Siedzę sobie wczoraj na przystanku, a tu, fik, i świat się wywrócił, wszystko stanęło do góry nogami, ludzie stanęli na głowach, trajtki na pałkach, krótko mówiąc, jazda...

– Ale jaja...

– Fakt...

– Mały, co tam fakt?... Goń po wino, mówię ci...

– Na to podchodzi jakaś babulka i nawija coś w stylu: wnuczusiu, wszystko w porządku?... A to ja sam zrypałem się z ławki i leżę do góry brzuchem... Kurtka się sfatygowała, matka dała mi za to po łbie...

Mnie sniatsia inogda nocnyje goroda

Tam był kakoj-to dom, gdzie my byli wdwojom

Nie pomniu s kiem – utrata utrata

niet wozwrata

– A pamiętasz, jak Jarik nawąchał się kleju?

– Nie.

– No, jak se na łeb wsadził reklamówkę? Ściągnęliśmy ją, a ten miał całą łepetynę uwalaną klejem...

– To wtedy, jak potem łaził cały łusy?

– No...

– Acha...

Gdyby można było napompować łzę jak bańkę mydlaną, trzymać ją na dłoni, a potem krzyknąć w jej wnętrzu tak, aby twój głos wdarł się prosto w jej środek... Gdyby było można podrzucić tę bańkę i tuż nad swoją głową tknąć ją palcem.... To twe łzy, razem z twoim głosem, rozleciałyby się na wszystkie strony na odległość dwunastu kilometrów.

– E, luknij, płacze nasz Stiopa, czy jak?...

– Na bank... Stiopa, co z tobą?

– Całkiem go rozebrało...

– Trzeba mu dać wody... Patrz, lecą mu łzy jak grochy, jeszcze umrze z odwodnienia...

Czużaja postel, czużyje stulja

Na musornom krieslie czużaja babula

Letuczyje myszy, chłam po ugłam

Razobrannaja krysza, razruszennyj chram

– Woda nic nie pomoże, musi wyjść na powietrze...

– Lepiej niech posiedzi...

Jeśliby splunąć, to najdrobniejsze cząsteczki twojej śliny rozprysną się w promieniu około dwunastu kilometrów. Dlaczego tak samo nie dzieje się z głosem, dlaczego nie można tak zrobić ze łzami, dlaczego to jest niemożliwe z ciszą? I tak sobie chodzimy, opluci, diabeł wie przez kogo, a twe łzy kapią u twych stóp, twój głos niesie się trochę dalej, a cisza jest w ogóle nieosiągalna. Absolutnie. Nigdy.

– On zaraz odwali kitę i co wtedy zrobimy?

– A niby czemu ma kipnąć?... Nie bój się, nie wykituje... Niby czemu miałby nagle zejść?

– Mówię, że kipnie... i co wtedy?

– Co się tak boisz... nie fajtnie... Nic mu nie będzie...

Zabiericie moj dom, no ostawcie mnie gołos

Gołos, gołos, gołos

Gołos moj dom, gołos moj sad

Gołos moj raj, gołos moj brat

– Musimy go wyprowadzić na ulicę, mówię, jak komu dobremu...

– Powietrze mu zaszkodzi, nie truj... Dojdzie do siebie tutaj...

– A jak tu wszystko zarzyga?

– Lepiej, żeby puścił pawia na ulicy... śmieciarze wszystko sprzątną...

Gołos moj chram, gołos moj grom

Gołos my drum, gołos mój OM

Gołos moj dom [2]

– Zastanów się... rzygać na ulicy...

– Fakt.

– Mały, kurwa, jeszcze tu jesteś?... Spadaj mi stąd w te pędy!

Z drugiej strony, jeśli sobie wyobrazić. Jeśli sobie wyobrazić, że twój głos niesie się na odległość dwunastu kilometrów, twoje łzy rozlewają się na odległość dwunastu kilometrów, a cisza, cisza – że jest nieosiągalna. W żaden sposób. Nigdy.

SCENA PIĄTA

Cisza. Słońce bije prosto w twarz, gorąco, i wszystko zaczyna brzęczeć. Przeszywający dźwięk, nieprzyjemny. Muszę zamknąć oczy. Pomimo to przeszywa, od ucha do ucha przez całą głowę przewierca się cieniutką struną. Piłuje. Aż dzwoni w uszach, poraża i ześlizguje się na dźwięka.

– Towarzyszu poruczniku, szeregowy Tarasiewicz melduje się na przysięgę.

– Do przysięgi!

– Tak jest!

W ustach sucho, muszę przełknąć ślinę, gardło rozrywa i na moment zatykają się uszy, i znowu struna przewierca mi mózg.

– Ja, obywatel Republiki Białoruś – Tarasiewicz Igor Gienadjewicz, uroczyście przysięgam służyć wiernie swojemu narodowi, święcie przestrzegać Konstytucji Republiki Białoruś...

– (w szeregu – szeptem) Czego on tak mamrocze, nie może szybciej?

– Trzeba było kutafonowi spuścić wpierdol.

– Wpierdolimy mu po capstrzyku.

– Uważaj, bo jeszcze nam wszystkim po capstrzyku wpierdolą.

– ...przestrzegać wojskowego regulaminu i wykonywać rozkazy dowódców i komendantów. Przysięgam godnie wypełniać żołnierski obowiązek, mężnie i z poświęceniem bronić niepodległości, granic i ustroju konstytucyjnego Republiki Białoruś.

Słońce. W uszach nie przestaje dzwonić. Burczy w brzuchu, mdłości przybierają na sile.

– (w szeregu – szeptem) Taraska, ty jebana pokrako, weź na rozpęd, cztery godziny się tu pieczemy, ochuć można.

– Towarzyszu poruczniku, szeregowy Tarasiewicz melduje złożenie przysięgi.

– Gratulacje z okazji zaprzysiężenia.

– Służę Republice Białoruś!

– Zuch! Do szeregu wstąp!

– Tak jest!

Uszy mam kompletnie zatkane. Wokół wszystko bulgocze i dzwoni, ślinę mam lepką, rozmazuje mi się w ustach. Ledwie trzymam się na nogach. Słońce na całe niebo, ogromne. Dzwoni nie do wytrzymania.

– Szeregowy Fillipow!

Struna wibruje w głowie, tnąc mózg na drobne płaty. Od karku w dół – totalna niemoc. Prawie nie słyszeć dźwięków z zewnątrz. Słońce zrobiło się jeszcze większe.

– Szeregowy Fillipow!

– (w szeregu – szeptem) Stiopa, daj głos, czego śpisz?

– Kurwa, Suchy, weź go szturchnij.

Wydaje się, że słońce za chwilę wszystkich pożre. Następną falą nudności, w ustach gorzki posmak. Uszy zatkały się całkowicie. Jasność, jasność – mąci mi się w oczach. Ból w plecach, pewnie ktoś rąbnął mnie kolbą karabinu. Następny. Następny w szeregu. Cisza, struna rozpuściła się, ulotniła się niemoc, wszystko ustąpiło. Ciemność, błogość, pustka.

– Job twoju mać!

– Przegrzał się...

– Weźcie go podnieście...

– Wody, dajcie mu wody...

– Kurwa, tego tylko jeszcze brakowało...

Wszystko gdzieś się ulotniło. Ciemność, błogość, pustka.

– A któremu to przegrzała się pała?

SCENA SZÓSTA

Fale nacierają coraz mocniej i mocniej, jakby chciały cię wyzwąć na pojedynek. Chciałbym wyskoczyć z sandałów i z rozbiegu rzucić się w odmęty mrocznej kotłującej się wody. Wynurzyć się, namacać dno, stanąć na nogach, zrobić kilka kroków do tyłu i znowu z impetem rozszczepić fale swoim ciałem.

– Ale głupek!... Mógł chociaż zdjąć podkoszulek...

– On w ogóle nie powinien pić.

– On wcale nie jest pijany... Ulega nastrojom...

– A mnie się wydaje, że po wojsku w ogóle zrobił się jakiś przygaszony...

– Zawsze taki był... zwyczajnie, jest zamknięty w sobie...

– To na grzyba wzięliśmy go ze sobą?

– Liza, mówiłem ci ze sto razy, że to mój przyjaciel... To wszystko, sprawa zamknięta.

– Zamknięta, zamknięta...

Po samą szyć. Jeszcze troszkę, jeszcze krok, jeszcze pół kroku. Utrzymać się na nogach jest praktycznie niemożliwe, napinając łydki, muszę wgryzać się małymi palcami w piasek. To jest tylko nasz pojedynek.

– Trzeba by jeszcze nazbierać chrustu...

– Na razie wystarczy...

– Kiedy pójdziemy do hotelu? Chłodno już...

– To usiądź bliżej ogniska, albo mocniej przytul się do Wadika...

– A co ma do tego Wadik? On mnie tylko osłania od wiatru...

– O, Wadik, okazuje się że robisz tu jedynie za wiatrołap...

– No, w tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak iść po drzewo...

– Wadiusza, no, czemu od razu się obrażasz?

– Nie obrażam się... Idę po drzewo...

Woda jest słona, fale zalewają aż po dziurki w nosie – wbijam palce jeszcze głębiej w piach. Nabieram powietrza pełną piersią i od palców u nóg poprzez tydki i uda, od żołądka do klatki piersiowej, przedzierając się przez krtań, usiłuję wyrzucić z siebie krzyk, dając odpór falom.

– Czego on tak wrzeszczy?

– Rekiny płoszy...

– Stiopa, wszystkie ryby wystraszysz!

– Jakiś chory ten wasz Stiopa...

– Liza, przecież powiedziałem – sprawa zamknięta.

Jak wieloryb próbuję wysłać dźwięk na kilometry przed siebie, tnąc ocean na połowy. Uchodzić na głębiej, sieć ocean, powracać z powrotem po niezbędny łyk tlenu, i znowu ciąć wodę na wiele kilometrów przed sobą. Wytrzymać... przede wszystkim wytrzymać.

– A jego, co, diabeł opętał, czy jak?...

– Najważniejsze, żeby nie utonął, wyżyje się i wróci...

– Po prostu, człowiek pierwszy raz jest nad morzem, to fiksuje...

– Nieźle ześwirował... Ryczy, jak zarzynane prosię...

– Może myśli, że kogoś w ten sposób zwabi, wiesz, taki rytuał godowy...

– Trzeba by kogoś mu naraić... Liza, może poznać go z twoją siostrą?...

– Co jeszcze?...

Chociaż zwycięstwo wydaje się nieosiągalne, to podjęcie ryzyka... Tak, wszystko zależy od podjęcia wyzwania. Zmęczyłem się. Woda podtrzymuje mą głowę, woda podpira moje plecy, woda daje oparcie mym łydkom. Dopiero co woda była moim najzacieklejszym wrogiem, a teraz czule, łaskawie mnie wspiera. Dziękuję ci, wielka wodo, dziękuję ci, ogromne niebo.

– A gdzie on się podział?

– Może nurkuje?

– No, to coś długo nie wypływa...

– Wypłynie, tacy jak on nie toną...

– No, znowu zaczynasz?... Ja na temat twoich psiapsiółek słowa nie pisnę... Jak się wypacykują, to, kurwa, aż strach patrzeć!...

– Twój za to lepsi!... Milczy taki, milczy, a potem dalej ryczeć w morzu!... Przygłup jeden...

Czarna woda zlewa się z czarnym niebem, tworząc wokół mięciutki kokon. Dziękuję ci, morze o tysiącu rękach. Dziękuję ci, niebo o tysiącu oczach.

Śpij syneczku, śpij laleczko,

Mama pobiegnie po mleczko,

Nakarmi i napoi cię.

A dobry Pan Bóg w niebie

Da, że wychowam ciebie,

Aj luli, luli, synku mój.

Kołyska. Cisza.

SCENA SIÓDMA

Drzwi bez przerwy trzaskają. Przeciąg. Dźwięk szybko się niesie. Chciałoby się poderwać z miejsca i ruszyć z nim na wyścigi.

– Stiopa, zrób dwieście kopii...

Lot za dźwiękiem urywa się. Nogi ponownie muszą stać na starym zdartym linoleum. Jak zawsze ohydnie buczą jarzeniówki.

– I jeszcze z pięćdziesiąt sztuk formularzy, żeby potem nie latać...

Duży zielony przycisk kserokopiarki. Równomiernie przesuwają się bębny fotoreceptora. Zig – raz, zig – dwa, zig, zig, zig...

– Babeczki, która chce katalog Oriflame?... Korzystne rabaty z okazji ósmego marca...

– A nie masz przypadkiem z zeszłego miesiąca?... Chciałam sobie wziąć tonik...

– Podaj mi typ, to przywiozę ci w środę...

– Gdzieś to zanotowałam... Jak znajdę, to ci powiem.

– Świeta, chcesz luknąć na katalog na ósmego marca?...

– To nie mój problem. Jeszcze by tego brakowało, żebym sama wybierała sobie prezent z okazji ósmego marca... Mąż niech trochę pogłótkuje...

Kserokopiarka brzęczy jak zwykle. Rozgrzewa się. Zig – raz, zig – dwa, zig, zig, zig. Dokładnie, akuratnie, równomiernie. Zig, zig, zig. Dokładnie, akuratnie, równomiernie. Telefon. Co dwie strony telefon wydaje pisk. Cisza przemówiła.

– Boria, naczelny cię nie wzywał do siebie?

– Owszem, dał mi pisemko, że kończy się umowa...

– Przedłużą ci?...

– Nie, przecież zgnoićem go wtedy na zebraniu...

– I więcej z nim nie gadałeś?

– A niech spada na chuj... Nawet nagrody mi nie przyznał z okazji 23 lutego [3], a co ja, baba jestem, czy jak?...

– Lepiej byś z nim pogadał, mówią, że jest całkiem do rzeczy...

– Za taką pensję mam się jeszcze przed nim płaszczyć?... Do brata pójde, na ochroniarza...

Cisza przemówiła. Zig, zig. Co dwie strony telefon wydaje pisk. I w tym momencie włączają się instrumenty perkusyjne – to zszywacz dźwięcznie przebija papier. Bach, bach. Sześciu ludzi z działu sprzedaży jednocześnie zastukało w klawiatury. Opadają żaluzje, otwierają się i zamykają szuflady biurek, drzwiczki szafy ogniotrwałej melodyjnie trzaskają, pękaty nawilżacz bulgocze monstrualnymi bańkami. Symfonia! Stojąc na biurku można z łatwością dyrygować tą orkiestrą.

– ...Podaj mi faktury...

– ...Otwórzcie okno...

– ...Podyktuj drugą linijkę...

– ...Już dawno zapłacone...

– ...Nie zrealizowali płatności...

– ...To nie ten formularz...

– ...A gdzie jest Sokołow...

– ...Utknął w korku...

– ...Położyłam ci faks na biurku...

– ...Na „Naszej klasie” widzieliśmy niezłe jajco...

– ...Jak będzie gotowe, to od razu proszę przysłać...

– Stiepanie Siergiejewiczu, proszę zejść z biurka i zajrzeć do naczelnego... Stiepanie Siergiejewiczu, proszę zejść z biurka, co też pan wyrabia?!... Niech pan idzie do naczelnego, mówię przecież, że pana prosi...

Wstrętnie buczą jarzeniówki. Jedenaście kroków do drzwi naczelnego.

– W zeszłym miesiącu powiadomiliśmy pana o upływie terminu umowy... wszystkie niezbędne dokumenty pan widział i je podpisał... Stiepanie... E, jak pana... Andriejewiczu, tak?... Stiepanie Andriejewiczu, jestem zobowiązany powiadomić pana, że nie przedłużymy z panem umowy.

Zegar stołowy wybija rytm. A za drzwiami, jeśli nadstawić ucha, nawilżacz kontroluje sekcję rytmiczną, słychać radosną perkusję klawiatur, trele telefonów. Tak, można się uśmiechać. Można.

– Specyficznie pan reaguje, ale cóż, to pana sprawa... Po prostu chciałem, żeby pan wiedział, że to nie moja decyzja, to polecenie z kadr...

Szkoda, że drzwi są zamknięte. Ale dźwięk, pomimo tego, przenika na przekór do gabinetu, krąży wokół tego biurka, wokół tego monitora, wokół tej łysiny. Tak, można się uśmiechać. Nic nie stoi na przeszkodzie.

– ...Podaj fakturki...

– ...Otwórzcie okno...

– ...Podyktuj drugą linijkę...

– ...Już dawno zapłacone...

Wydaje się, że szafa ogniotrwała kuleje i kilka razy zgubiła rytm. Gdyby troszkę uchylić drzwi, choćby ciut-ciut.

– Proszę jeszcze chwilkę zostać, musi pan podpisać dokumenty. Tak, i jeszcze tutaj...

– ...Nie zrealizowali płatności...

– ...To nie ten formularz...

– ...A gdzie jest Sokołow...

– ...Utknął w korku...

– ...Położyłam ci faks na biurku...

– ...Na „Naszej klasie” widzieliśmy niezłe jajco...

– ...Jak będzie gotowe, to od razu proszę przysłać...

– Tak, dziękuję, to wszystko... Stepanie Iwanowiczu, sam pan rozumie, jakie mamy czasy...
Wszystkiego dobrego.

Gdyby usunąć ten głos w tle, gadający ni pięć, ni w dziewięć, byłoby wprost cudownie. Ale, ale, przecież to przepiękne, gdy kółka od fotela ślizgają się po parkiecie.

– Proszę przymknąć za sobą drzwi... Jakoś głośno dzisiaj...

SCENA ÓSMA

Ludzie mlaszczą. Skrobią widelcami po talerzach, stukają łyżeczkami o krawędzie szklanek. Ale spoza tego stukania, szeptania i szeleszczenia wyziera cisza. Lepka, zalegająca, zimna.

– Dobry ten kapuśniak...

– No i zebrała nas wszystkich nieboszczka...

– Proszę podać mi chleb... Dziękuję...

– Tak... Lepiej byłoby nie spotykać się z takich okazji...

– Nawet nie mów...

– A co zrobić... Nie ma wyjścia...

– Nie ma, nie ma...

Ktoś nerwowo uderza nogą o podłogę. Ludzie mówią cicho, tak jest przyjęte. Skrzypią okiennice. Wiatr.

– Jak się wszyscy rozejdą, to pogadamy...

– Coś ty, nie mogę tyle czekać, mam samolot... Prawdę powiedziawszy, to już powinienem jechać...

– Co tu mątykować... Sprzedajemy dom i dzielimy pieniądze...

– I za ile go sprzedasz? Za grosze. A ziemia to zawsze ziemia. Uważam, że powinniśmy poczekać...

– Matka jeszcze w grobie nie ostygła, jak to mówią, a wy już liczycie kasę za dom...

– Wujku Toliku...

– Dobra, wujaszku... Stiopa, chodź, zapalimy sobie...

Skrzypią krzesła. Łomoczą masywne buciory w drewnianą podłogę, jak młotem rozbijają dźwięczące napięcie. Po wejściu do sieni daje się łatwo wyczuć, jak cisza wciąga cię z powrotem, ale nie masz kompletnie ochoty, aby ponownie wessało cię w tę zimną obojętność, i umykasz w zatęchły, kwaśny zapach sieni.

– Stiopka, ty im domu nie dawaj... To rodzinne gniazdo...

W sieni słychać, jak na ulicy ktoś samotnie śpiewa.

Żegnam cię mój świecie wesoly,

Już idę w śmiertelne popioły,

Rwie się życia przędza,

Śmierć mnie w grób zapędza.

Święty Boże, Święty Mocny,

Święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!

– Babciu Wiero, czemu tu siedzisz sama?

– A czy tam pomodli się człowiek za spokój duszy?

– Tak, obrzydzenie człowieka bierze na to wszystko... drapieżne kruki... drapieżne kruki...

– Zdążyłam się już przyzwyczaić... Wiesz, ile się w życiu napatrzyłam...

– Jak można przywyknąć do czegoś takiego?

– Lepiej myśl o swojej powinności, a za innych nie poradzisz... Oni niech sobie żyją, jak chcą, a ty sam wspomnij zmarłą...

Żegnam was, mili przyjaciele,

Mnie pod głąz czas grobowy ściele,

Już śmiertelne oczy

Sen wieczny zamroczy!

Święty Boże, Święty Mocny,

Święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!

Padają łzy – na trawę, na ziemię, głębiej.

– Stiopa, chłopakom, co kopali grób, dałem kiełbasę, wódkę, wszystko w ramach rozliczeń...
Najważniejsze, żebyś pogadał z ich szefem, żeby miejsca obok nie sprzedawali, za miesiąc przyjadę,
wykupię je...

Padają łzy – na trawę, na ziemię, głębiej.

Żegnam was, godziny minione,

Momenta i dni upłynione,

Już zegar wschodzi, index nie zawodzi,

Do wiecznego spania śmierć duszę wygania.

Święty Boże, Święty Mocny,

Święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!

Głos niesie się aksamitnie, cisza otwiera przed nim swe podwoje i dźwięk pomyka – przez podwórze,
przez ogród, przez pole, przez las, przez jezioro, dalej. Łzy padają – na trawę, na ziemię, głębiej.

SCENA DZIEWIĄTA

Lepiej się ukryć. Słuchanie takiej kakofonii jest nie do zniesienia, z kolei pozostawanie całkiem bez
dźwięków jest niemożliwe. Drogie i duże słuchawki całkowicie zakrywają uszy. Dźwięk staje się
odległy, przygłuszony. Końcówka kabelka znika w kieszeni obok paczki papierosów. Słuchawki mogą
ochronić również przed zbędnymi kontaktami z otoczeniem.

Peron.. Przejście. Przesiadka. Wokół bez ustanku wszystko huczy, szumi, syczy. Ludzie coś mówią, śmieją się, krzyczą. Oczekiwanie na pociąg. Przy wjeździe pociąg daje sygnał. Odgłos jest obrzydliwy, drażni, wydaje się, jakby to ogromny nietoperz, rozpostarłszy skrzydła, przypuścił na ciebie atak. Ludzie się przepychają. W wiecznym pośpiechu, już gotowi, aby wedrzeć się do wagonu, zmiatając wszystkich na swojej drodze. Sekunda pauzy przed otwarciem drzwi. Obłąd.

Eksplozja. Oślepiający wybuch. Fala uderzeniowa zbija z nóg. Przed oczami dopiero co migają plecy, potylicy, oczy, teraz – sufit, sklepienie, migoczące lampy. Momentalnie wszystko zasnuwa się dymem i swądem. Muszę wstać, wszędzie są ludzie, biegną, pełzną, leżą. Leżą. Na szyi czuję coś mokrego, spod słuchawek po szyi płynie krew. Krew. Cisza. Cisza. Wokół są ludzie, biegną, pełzną, leżą, leżą i cisza. Przez ludzką bieganinę rozstępują się kłęby dymu, i wicher z dymu i ludzkich ciał kołuje coraz mocniej. W pełnej ciszy ręce same unoszą się ku górze. Oto jest – symfonia przewodnia! Pierwsza na świecie symfonia ciszy! Wzniostem się ponad orkiestrę, lewą raz – cisza, prawą dwa – cisza. Cisza. Jak, w jaki sposób można przyspieszyć lub zwolnić tempo, co trzeba uczynić, aby cisza zabrzmiała głośniej? Nie jestem w stanie, symfonia rozlega się na własną rękę. Skomponowana przez nieznanego kompozytora, nie chce podporządkować się nikomu więcej. I jakbym się nie starał, czy lewą – raz, czy prawą – dwa, nikt nie da rady nią dyrygować. Opadły ręce, a symfonia trwa – trąba powietrzna przybiera na sile. Kompozytor nie mógł, ot tak, zakończyć swoje dzieło, on wiedział, w jakim celu je tworzy, z każdą nutą coraz bliżej i bliżej doprowadzając słuchaczy do finału – do wiecznej ciszy.

Dym, swąd spalenizny, ludzie. W strumieniu tego wichru ktoś poniósł czyjeś ręce. Gaśnie światło. Poprzez ciemność i gęsty dym przebijają się ostre promienie latarek służb ratowniczych.

SCENA DZIESIĄTA

– ...Terrorysty mogą umieścić materiały wybuchowe w najbardziej niespodziewanych miejscach: na drogach, w budynkach mieszkalnych, w środkach transportu, w miejscach użyteczności publicznej, w zaparkowanych samochodach. W obecnych czasach mogą być wykorzystywane zarówno gotowe materiały wybuchowe, jak i te własnej roboty, zamaskowane pod postacią jakichkolwiek przedmiotów.

– ...W przypadku zauważenia przedmiotu grożącego wybuchem (granatu, pocisku, bomby itp.) nie wolno się do niego zbliżać. Należy powiadomić o tym fakcie osoby znajdujące się w pobliżu i poprosić o bezzwłoczne poinformowanie o znalezisku organów milicji. Osobom postronnym należy zabronić kontaktu z niebezpiecznym obiektem oraz podejmowania prób unieszkodliwienia go.

Słuch jeszcze nie do końca się zregenerował. Ale to nie jest takie złe. Tak jest spokojniej. W mroku pokoju migocze telewizor. Dobrze, że go prawie nie słychać, można wsłuchiwać się w ciszę. Od czasu do czasu cisza dzwoni, a czasem... czasem, jakbym się nie starał, czy lewą – raz, czy prawą – dwa, nikt nie jest w stanie nią dyrygować .

– ...W czasie podróży środkami masowego transportu uprasza się o zwracanie uwagi na pozostawione bez opieki torby, teczki, paczki, zabawki i inne rzeczy bez nadzoru, w których mogą być zamontowane materiały wybuchowe własnej roboty. Należy natychmiast powiadomić o tym fakcie kierowcę, maszynistę pociągu, każdego funkcjonariusza milicji. Podejrzanych przedmiotów nie wolno otwierać, dotykać rękami, należy uprzedzić znajdujących się obok ludzi o ewentualnym zagrożeniu.

– ...Wchodząc na klatkę schodową proszę zwracać uwagę na nieznaną osobę i obce przedmioty. Materiały wybuchowe w budynkach mieszkalnych montowane są z reguły w piwnicach, na parterze, w pobliżu zsypu na śmieci, pod schodami. Uprasza się o zachowanie ostrożności i uwagi.

Słuch jeszcze nie w pełni się zregenerował. Ale to nie jest takie złe. Tak jest spokojniej. W mroku pokoju migocze telewizor, przez okno widać, jak wokół świecącej latarni kłębią się ćmy. Kiedyś można było wyjść na balkon, zamknąć oczy i słuchać, jak cicho buczy lampa latarni i ćmy objijają się jedna o drugą. Dziwne... ćmy objijają się jedna o drugą... Przed oczami pojawia się wir z dymu i ludzi.

– ...Zagrożenie wybuchem mogą znamionować następujące oznaki: obecność niewiadomego pochodzenia pakunku lub jakiegoś detalu w samochodzie, na schodach, w mieszkaniu itd.; naciągnięty drut, sznur; przewody lub taśma izolacyjna zwisająca od spodu samochodu; cudza torba, teczka, pudełko, jakiegokolwiek przedmiot znaleziony w samochodzie, pod drzwiami mieszkania, w metrze.

Nie mogę spać po nocach, przed oczami ciągle pojawia się nawałnica z dymu i ludzi. W trakcie dnia, czasami, oczy same mi się zamykają. Przed oczami zjawia się zawierucha z dymu i ludzi. Symfonia. Po co kompozytorzy piszą symfonie?

– ...W przypadku zaistniałego wybuchu, jeżeli nie zostali państwo przysypani gruzami, meblami, odłamami sufitów (może tu dojść do lekkiego i średniego stopnia urazów ciała spowodowanych przez sprzęty domowe) uprasza się o zachowanie spokoju. Proszę uważnie rozeznaczyć sytuację. W przypadku koniecznej ewakuacji proszę wziąć dokumenty, artykuły codziennego użytku, pieniądze (książeczki oszczędnościowe). Proszę przemieszczać się ostrożnie, nie dotykać do zwisających konstrukcji, nie ruszać odizolowanych przewodów. Uprasza się o niekorzystanie z otwartego ognia w celu uniknięcia wybuchu oparów gazu.

Często nachodzą mnie wspomnienia. Mocny wykop piłki, daleki. Poprzez słońce. I cisza. Słońce. Daleko. I widać smugę od asfaltu do słońca i potem jeszcze dalej. Cisza pomiędzy asfaltem a słońcem przeradza się w odmęt z dymu i ludzi.

– ...W przypadku silnego zadymienia lub zapylenia proszę użyć maseczki z gazy lub zabezpieczyć drogi oddechowe zmoczonym kawałkiem materiału (chusteczką, ręcznikiem, kawałkiem prześcieradła, serwety itp.). Proszę postępować ściśle według wskazówek funkcjonariuszy służb informacyjnych (na zasadzie wzajemnej informacji).

Przypominam sobie jeszcze, jak w dzieciństwie Jim wylał z wody i otrząsał się, wydawał przy tym śmieszny dźwięk, jego uszy trzaskały. A jak wieczorem ujadł w polu, to nawet echo było. Słysząc je było nawet w lesie. Echo przeistacza się w chaos z dymu i ludzi.

– ...W przypadku zasypania odłamami murów, proszę nie tracić otuchy, nie wpadać w histerię, należy się w miarę możliwości uspokoić, oddychać głęboko i rytmicznie, uwzględnić możliwość znoszenia głodu, pragnienia, starać się nie tracić sił.

Dziki zmęczenie. Twój głos niesie się na dwanaście kilometrów, twoje łzy padają na odległość dwunastu kilometrów, a cisza, cisza – jest nieosiągalna. W ogóle. Nigdy. A w niej, w ciszy, pandemonium z dymu i ludzi.

– ...Poprzez nawoływanie i stukanie należy przyciągać uwagę ludzi, szczególnie, jeśli słysząc ich działania w pobliżu. W przypadku znalezienia się głęboko pod powierzchnią ziemi, proszę podjąć próby przesuwania raz w prawo, raz w lewo jakichkolwiek przedmiotów (pierścionek, klucze, bransoletka itp.), aby wykrywacz metalu mógł zlokalizować odbierany sygnał.

Wydaje się, że słońce za chwilę wszystkich pochłonie. Kolejna fala wymiotów, w ustach gorycz. Uszy kompletnie zatkane. Jasność, jasność – mąci się w oczach. Cisza, struna popuściła, osłabienie minęło, wszystko gdzieś się zaprzepaściło, przed oczami jedynie furia z dymu i ludzi. Mrok, beztroska, pustka.

– ...Proszę oszczędzać tlen, nie zapalać zapalek, świec, zapalniczek. Należy przesuwać się (poruszać się) delikatnie, tak, aby nie spowodować kolejnego osunięcia ruin, należy orientować się według ruchu powietrza napływającego z zewnątrz. W miarę możliwości, przy pomocy znajdujących się pod ręką przedmiotów – deska, cegła itp. – należy zabezpieczyć przed obruszeniem się płytę nośną (sufit).

Proszę spokojnie oczekiwać na pomoc. W przypadku silnego pragnienia proszę włożyć do ust niewielki kamyk i ssać go, oddychając nosem.

Czarna woda stapia się z czarnym niebem, tworząc wokół przytulny kokon. Dziękuję ci, morze o tysiącu rękach. Dziękuję ci, niebo o tysiącu oczach. Kolebka. Cisza.

– ...Drodzy państwo, na tym kończymy nasz program. Dziękujemy, że nam państwo towarzyszyli. Proszę uważać na siebie i na swoich bliskich. Do zobaczenia.

SCENA JEDENASTA

– ...o dokonanie przestępstw przewidzianych w paragrafie 1., 2., 3. artykułu 289. Kodeksu Karnego (terroryzm), w paragrafie 2., 3. artykułu 295. (bezprawny obrót bronią, amunicją, materiałami wybuchowymi), w paragrafie 2., 3. artykułu 339. (złośliwe chuligaństwo i szczególnie złośliwe chuligaństwo), w paragrafie 2. artykułu 218. (umyślne zniszczenie lub uszkodzenie mienia), w paragrafie 1. artykułu 14. oraz w paragrafie 3. artykułu 339. (usiłowanie rozboju), w paragrafie 1. artykułu 14. i paragrafie 2. artykułu 218. (usiłowanie umyślnego zniszczenia mienia). Biorąc pod uwagę skalę przestępstw sąd orzeka karę śmierci przez rozstrzelanie, bez konfiskaty mienia.

Na sali rozpraw gwarno. Bez przerwy strzelają aparaty fotograficzne. Jak zamknę oczy, czuję się tak, jakbym się znalazł w jakiejś fabryce.

– Oskarżony ma prawo wygłosić ostatnie słowo. Czy oskarżony chce coś powiedzieć?

Oskarżony milczy. Nie kiwa głową, on po prostu milczy. Wyzuty z wszelkich emocji, milczy i nawet nie kiwa głową. Na sali rozpraw budzi się poruszenie.

– No mów!

– Powiedz coś, dlaczego milczysz?

– Bydlaku, gadaj, wyjaśnij, dlaczego?!

– Myślisz, że wykręcisz się milczeniem?

To zdumiewające! Genialne! Słyszycie to? Rozumiecie już, skąd się bierze cisza? Nie, to nie do pomyślenia! Rozumiecie, gdzie cisza ma swoje źródło, rozumiecie już, kto tę ciszę stworzył? Wstań, klaszcz, wstań i klaszcz, wstań i klaszcz, więcej nie będzie takich okazji.

Na sali rozpraw rozlegają się brawa, powoli, głośno, pewnie, szybciej, głośniej, z większym przekonaniem. Na sali sądowej oklaski są niestrudzone, donośne, śmiałe.

SCENA DWUNASTA

Gołąb stuka pazurkami o parapet. Cisza. Przemykając pośród drzew, głośno gwizdże lokomotywa. Ponownie zapada cisza. Przy oknie jest najcichszy zakątek.

– Wzięłeś lekarstwa, dziadku? Co tak machasz tą swoją łysą kalarepą? Otwórz buzię...

Kroki zanikają. Po raz kolejny cisza bierze wszystko w swoje posiadanie. Przez wiele lat przy oknie było najbardziej ciche miejsce. Zimą, latem, wiosną i jesienią. Gołąb grucha, śpiewa w swoim gołęmbim języku, przebiera pazurkami po parapecie.

– Kurwa, przygłup jeden, wytrzyj ślinę, całą koszulę zafajdał!.... Masza, która godzina?

– Nie wiem...

– Zabierz ich dzisiaj wcześniej. Mam powyżej dziurek w nosie gapienia się na ich mordy...

– No, to zabieraj ich... A ja, tymczasem, pójdę wstawić wodę... Stiopa, tylko tego nie rusz, niech sobie jeszcze posiedzi, jemu tu dobrze, przy oknie...

– Stiepan Siergiejewicz, mój imiennik i ulubieniec... Dobra, niech sobie siedzi, imiennik, niech sobie siedzi... Rozpuścisz go, a potem będzie ci gluty rozmażywać na fartuchu...

– Nie będzie. On jest dobry... Cichy... Tylko że sam, jak palec...

łzy padają na kolana, na podłogę, głębiej...

STIEPAN Śpij syneczku, śpij laleczko,

Mama pobiegnie po mleczko,

Nakarmi i napoi cię.

A dobry Pan Bóg w niebie

Da, że wychowam ciebie,

Aj luli, luli, synku mój.

Głos niesie się łagodnie, cisza rozstępuje się przed nim, i głos leci, przez okno, przez kraty, poprzez las, przez jezioro, dalej. Głos taje w jeziorze, w lesie, na kratkach, na oknie, na wargach. Głębiej . Na zawsze .

Koniec.

[1] „Umka”, a właściwie Anna Gerasimowa, jest filologiem, poetką, kompozytorką, autorką tekstów oraz tłumaczką z litewskiego. Zaczynała jako uliczny grajek. Swoją energią, tekstami i wytrwałością

zwróciła uwagę miłośników szczerzej muzyki oraz niebanalnych tekstów. Po dziś dzień zachwyca fanów oryginalnością i niepowtarzalnością. Solistka zespołu „Umka i Broniewik”. Dystansując się od polityki śpiewają o tym, co czuje współczesne pokolenie, jednak z dala od popu, techno i hip-hopu. Ich muzyka to rock alternatywny z długimi, psychodelicznymi improwizacjami i niezwykłym głosem Umki, niekiedy dziecięcym, niekiedy warczącym.

[2] Wykonanie piosenki „Głos moj dom” Umki dostępny na stronie:

<http://www.youtube.com/watch?v=sGcwNx8R9xc> . Tłumaczenie na język polski piosenki „Głos jest mym domem”: „Idę nocą przez ciemne wzgórza/ Na własne oczy widzę opuszczoną świątynię / Nietoperze, porzucone śmieci / Rozebrany dach, opuszczona świątynia / Cztery księżycy w bezkresie nieba/ Ciemne wzgórza, w oddali las / Rozświetlone gwiazdami czarne sklepienia/ Przewroczyta noc, nocna wolność / Weźcie mój dom, ale zostawcie mi głos / Głos, głos, głos / Głos jest mym domem, głos jest mym ogrodem / Głos jest mym rajem, głos jest mym bratem / Głos jest mą świątynią, głos jest mym piorunem / Głos jest my drum, głos jest mym OM / Głos to mój dom / Śnią mi się czasem miasta nocą / Był tam ten dom, gdzie byliśmy we dwoje / Nie pamiętam z kim – to strata, to strata / Powrócić tam nie mogę / Cudza pościel, cudze krzesła / Na śmieciowym fotelu obca babula / Nietoperze, śmieci po kątach / Rozebrany dach, zrujnowana świątynia / Zabierzcie mi dom, zostawcie mi głos / Głos, głos, głos / Głos jest mym domem, głos jest mym ogrodem / Głos jest mym rajem, głos jest mym bratem / Głos jest mą świątynią, głos jest mym piorunem / Głos to my drum, głos to mój OM / Głos to mój dom”.

[3] 23 lutego – rosyjski Dzień Mężczyzny. Oficjalnie święto nazywa się „Dzień Rosyjskiej Armii i Floty Wojennej”. Ponieważ wypada on dwa tygodnie przed Międzynarodowym Dniem Kobiet, a praktycznie wszyscy „obrońcy ojczyzny” to mężczyźni – zatem jeszcze za czasów ZSRR to święto nieoficjalnie stało się Dniem Mężczyzny.